

Rozkrzyczane mewy, które krążyły nad spienionymi falami, rozproszyły się po niebie, nim miasto obudziło się do życia. Wiatr przywiał chłodną bryzę znad Czerwonej Zatoki, a zamglone niebo zasnuły grafitowe chmury i gęsto kłębiły się nad głowami tłumu, który coraz bardziej podnosił głosy. Wilgoć wypełniła niewielką przestrzeń targu rybnego, złączyła się z dusznym smrodem rynsztoka i obiegała zgromadzenie. Ludzie żądni sensacji tłoczyli się jeden koło drugiego. Staruszki rozpychały się łokciami, ciekawskie dzieci zajęły pierwsze rzędy przy podeście, a liczne oczy utkwione były w chudym chłopcu, który stał na widoku w obdartej koszuli z brudnymi rękawami i liczył trzynaście wiosen. Po buzi nastolatka spływały obficie łzy i malowały się długie smugi brudu. Jasne włosy zmierzwione nad czołem sterczały na głowie, a błękitne oczy ze strachem spoglądały na zgromadzony motłoch. Zza pleców dobiegły krzyki tęgiego mężczyzny, który podenerwowany całą sytuacją wygrażał masywnym palcem w powietrzu i domagał się sprawiedliwości za rzekomą kradzież z pola. To on przywłókł do portu Wyszomira, który pełen lęku teraz kulił głowę w ramionach i nie potrafił wydusić ani słowa na swoje usprawiedliwienie.

Ludzie czekali niecierpliwie na dalszy bieg wydarzeń, a ich podniesione, pełne gniewu głosy wznosiły się nad placem. Umilkli dopiero, gdy na podest wszedł żyłasty starzec w obszernej sukni ze zgrzebnego lnu i stanął wyprostowany niczym struna przed tłumem. Poglądził nerwowo długą brodę i powiódł mętnym wzrokiem po zgromadzonych. Z daleka większość z nich była tylko bezbarwną plamą, gdyż sokoli wzrok, którym szczycił się kapłan w młodości, zastąpiła starcza ślepota. Teraz tylko wyraźnie słyszał liczne głosy i mógł sobie wyobrazić, jak tłumnie zgromadzili się na miejscu. Wiedział, że to czysta ciekawość przywiodła ich pod pręgierz i z zapartym tchem czekali na wyrok.

Podekscytowani ludzie miotali oskarżycielskie słowa, które krążyły z ust do ust niczym złowrogie zakłęcia. Jedne szeptano z niedowierzaniem i drzeniem w głosie, inne płynęły wartkim potokiem wykrzykiwane z gniewem i odrazą. Głosy podskakiwały na językach, wzlatywały w górę, aby zatańczyć w powietrzu i rytmicznie wystukać kolejne głoski. Nagle wszystkie szepty ucichły i ludzie nadstawili uszu, gotowi uchwycić każde słowo wypowiedziane przez kapłana.

– W naszym królestwie – zaczął żerca głosem twardym i donośnym – karą za kradzież jest ucięcie dłoni.

Szmer przeszedł przez tłum niczym powiew zimnego wiatru, a wszystkie spojrzenia zwróciły się ku starcowi. Nie musiał im tego powtarzać, każdy dobrze o tym wiedział. Pamiętali krwawą jatkę sprzed ponad dwóch tygodni, kiedy to kat odrąbał dłoń złodziejowi tuż nad nadgarstkiem. Mężczyzna ośmielił się ukraść z pobliskich straganów dwie ryby i bochenek chleba. Kiedy wlekli go pod topór, błagał o litość, łzy spływały mu po twarzy, lecz nikt nie ulitował się nad głodnym. Żerca niewzruszony opowieścią o głodującej rodzinie przychylił się do wyroku bez wahania. Zimna stal przecięła skórę, a kości pękły z trzaskiem. Krzyk bólu rozdarł powietrze i do dziś huczał echem między domami, gdy fetor przypalonego mięsa jeszcze długo wypełniał nozdrza świadków.

– Wielu z was będzie rozczarowanych – podjął żerca spokojnym, ale twardym tonem – lecz władca Leszygrodu okazał litość temu chłopcu. To jednak nie znaczy, że kara go ominie. – Zatrzymał wzrok na skulonym winowajcy, a w jego oku błysnęła iskra, kiedy oznajmił: – Dzieciak zostanie przybity.

Tłum zawrzał. Oburzone głosy miotały się za plecami starego kapłana, wzlatywały w górę i tańczyły nad rybnym targiem niczym chmura wściekłych ptaków. Atmosfera

stężała od gniewu i ciężkiego oddechu tłumu. Mdła woń potu, alkoholu i niemytych ciał prześlizgnęła się wśród zebranych, którzy coraz bardziej napierali na podest. Wyszomir zadygotał z przerażenia, a spazmatyczny płacz wstrząsnął jego ramionami. Umorusaną buzię wykrzywił grymas rozpacz. Spróbował się wyrwać z żelaznego uścisku, lecz kat wbił w jego ramię silne palce i bez trudu utrzymał chłopca w miejscu.

– Ja nic nie zrobiłem! – krzyknął w popłochu, gdy poczuł szarpnięcie.

– Teraz udajesz niewinnego! – zawołał tęgi mężczyzna i podparł się pod boki, jeszcze mocniej wypinając opasłe brzuszysko. – Przyłapałem tego hultaja na gorącym uczynku, jak buszował na zagonie kapusty! – krzyczał rozeźlony, nie przestając wymachiwać pięścią.

– Niczego nie ukradłem! – wyłkał przez łzy przerażony, ale nikt w to nie uwierzył.

Zdarzało się, że Wyszomir zerwał jabłko z sadu lub kilka śliwek z drzewa sąsiada, kiedy przechodził koło strumienia, ale nie kradł na polu. Próby wytłumaczenia, że tylko szukał gęsi, która zagubiła się po drodze, gdy prowadził stadko na łąkę, na nic się zdały.

Zapłakał gorzko. Los od dziecka nie był dla niego łaskawy, wciąż pakował się w kłopoty. Cokolwiek by zrobił, jak bardzo by się starał, przeznaczenie zawsze zdawało się grać z nim w okrutną grę, w którą nie sposób było wygrać. Tym razem również nie stało się inaczej. Czuł, że coś nad nim ciąży, coś, czego nie był w stanie przebłagać. Czasem zastanawiał się, czy sam Światowid o czterech twarzach, strażnik dróg i losów ludzi, nie spogląda na niego z góry z szyderczym uśmiechem. Może jedna z jego twarzy darzyła go współczuciem, lecz inna zwrócona ku ciemności bawiła się jego cierpieniem i igrała z nim jak dziecko, które trzyma w dłoniach uwięzionego owada. Myśl, że bóg może wystawiać go na próbę dla własnej uciechy, napawała go lękiem. W takich chwilach serce ścisnęło mu się w piersi, a mięśnie drętwiały. Kara i ból zdawały się nieuniknione, zostały wpisane w samą nić jego losu, którą rodzanice uprzedły z obojętnością bogów i kaprysami ludzi. Zadygotał na ciele ze strachu oraz chłodu, który nadszedł od zatoki i wpełzł pod lichą koszulę, aby drasnąć pazurem skórę na wilgotnych plecach. Kropelki potu spłynęły po czole i przykleiły jasne kosmyki włosów do skroni. Wyszomir poczuł zdecydowane szarpnięcie za ramię. Wysoki mężczyzna odziany w skórzane spodnie i czarny kaptur zarzucony na głowę, który stał za nim jak cień, powlekł go przez podest i usadził na małym stołku plecami do przegierza.

– Siedź spokojnie! – syknął niewyraźnie przez grubą tkaninę, która zasłaniała szczelnie twarz, i przykląkł na jedno kolano tuż przy drżących nogach chłopaka. – Jeśli się nie poruszysz, ból będzie znośny. – Cichy śmiech wydobył się przez zduszone gardło, kiedy przysunął twarz do ucha winnego i dodał: – Od ciebie zależy, czy nie wbiję tego gwoźdźca w twoją głowę.

Zalękniony Wyszomir jęknął, niemrawo pokręcił głową i przełknął ciężko ślinę przez wysuszone gardło, gdy kat pokazał mu przed oczami kawałek tępego metalu.

– Dobry chłopczyk. – Poklepał go po ramieniu i brutalnie złapał za głowę, aby przechylić ją do boku.

Wyszomir zacisnął powieki, a łzy popłynęły po policzkach i poczuł ich słony smak na ustach. Palce zwinięte w pięści wepchnął między kolana i przygryzł wargę tak mocno, że metaliczny posmak rozlał się na języku. Kat pociągnął za delikatny płatek ucha i przyłożył gwóźdź do skóry. Ciarki przeszły po plecach skazanego. Młotek stuknął w metal i gorący ból rozlał się w rozerwanej małżowinie. Nastolatek zaczął rozpaczliwie wyć świadomy kolejnego uderzenia. Miał ochotę zerwać się ze stołka i uciec, gdy

świsnęło koło głowy i gwóźdź zatopił się jeszcze głębiej w płatku ucha. Boleśnie poczuł, jak kat połączył go z drewnianym pręgierzem, od którego nie mógł się oderwać.

– Gotowe! – oświadczył mężczyzna i prostując zgięte plecy, wstał z kolana. – Po zachodzie słońca możesz się zerwać! – Zaśmiał się głośno i szturchnął chłopca w bok. Wyszomir zakołysał się na stołku i poczuł, jak metal szarpie za ucho i rozrywa cienką skórę. Ciepłe łzy wypłynęły spod powieki i mocniej przyłgnał policzkiem do twardego drewna.

Ludzie oczekiwali srogiej kary, a decyzja żercy bardzo ich rozczarowała. Gdy tylko ostatecznie uderzenie młotka ucichło, westchnęli ciężko zawiedzeni słabym widowiskiem i odwrócili się plecami do skazanego. Gotowi wrócić do nudnej codzienności, ruszyli do swoich zajęć. Zostały tylko nieliczne matki z nastoletnimi synami, które wytykały palcami zawstydzonego Wyszomira. Miał być przestrożą dla ich własnych dzieci, zanim zrobią coś głupiego i sami znajdą się na jego miejscu.

– Patrz! – wrzasnęła korpulentna kobieta, która trzymała swojego syna za kołnierz koszuli. – Tak kończą złodzieje! – Splunęła w stronę ukaranego chłopca i pociągnęła za sobą rozkrzyczaną gromadkę.

Wyszomir uniósł oczy i błagalnie spojrział w niebo. Między ołowianymi chmurami przedzierały się nieśmiało promienie słońca. Wiedział, że do wieczora jeszcze daleko, choć dni stawały się coraz krótsze, gdyż zbliżało się święto Mateczki Mokosz. Nie chciał nawet myśleć, jak zdoła się uwolnić. Najmniejszy ruch przeszywał jego głowę falą bólu, jakby gwóźdź wbity w ucho palił go rozżarzoną żelazem. Objął się ramionami, próbując powstrzymać dreszcze, gdy z żołądka wydobył się żałosny pomruk. Od rana niczego nie jadł. „Tata pewnie czeka z kolacją” – przemknęło mu przez myśl, a serce ścisnęło się boleśnie, gdy zapłakał głośno. Wiedział, że kara wymierzona przez kapłana to nic w porównaniu z tym, co spotka go w domu.

Bieclaw od śmierci żony sam dźwigał ciężar wychowania syna. Starał się zapewnić chłopcu jak najlepszą opiekę, ale był surowy, bardzo wymagający, a przy tym sprawiedliwy. Chciał uczynić z chłopca uczciwego człowieka, dlatego za każde przewinienie go karał, nie znosząc tłumaczeń ani łez. Lęk wpełzł w myśli Wyszomira jak jad. Bał się nie tylko gniewu ojca, lecz i tego, co czekało go w obejściu. Gąski, które rano zagonił na łąkę, mogły już dawno się rozbiec. Jeśli po zmierzchu zaatakują je lis, ojciec nie zrozumie żadnych wyjaśnień. Przecież żerca, namaszczony przez samych bogów, już wydał wyrok. A kto ośmieliłby się sprzeciwić woli bogów?

Pierwsze ciężkie krople spadły z ołowianych chmur, które zasnuły niebo. Biała ławica rozkrzyczanych mew wzbiła się w górę i zatoczyła krąg nad wzburzonym morzem. Fale zaszumiały wśród skał, ściana wody runęła z hukiem na ziemię i rozlała się w mętnych strugach. Zimny deszcz kąsał chłopca po odsłoniętej skórze, która pokryła się dreszczami. Studził spuchnięte od płaczu policzki, zmywał strużki zakrzepłej krwi i sklejał zmierzwione kosmyki włosów. Pograżony w rozpacz Wyszomir nie dostrzegł, jak tuż przed nim wyłonił się wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu ociekającym wodą. Twarz skrywał głęboki kaptur, a w dłoni ścisnął sękaty kostur. Stał nieruchomo i wyglądał niczym czarne widmo, które skrada się w koszmarach sennych i okręca się wokół szyi śpiącego.

– Nieźle narozrabiałeś, bratku – odezwał się nieznajomy ochryłym głosem i nachylił się nad twarzą chłopca, aby przyjrzeć się ranie. – Wiesz, że słońce już zaszło. Czas wracać do domu.

Aksamitna ciemność od dawna rozścieliła się nad zatoką, a w oknach domów wzdłuż ulic połyskiwały żółte płomyki świec. Chłopak mruknął niewyraźnie i ledwie skinął głową pełen obaw, że poruszy bolącym uchem. Nieznajomy otoczony mrokiem wzbudzał w nim lęk, a zmęczenie wdzierało się pod senne powieki i marzył tylko o miękkim sienniku.

– Zatem na co czekasz? – zapytał mężczyzna, w jego głosie pobrzmiwała nuta rozbawienia.

– Nie mogę – jęknął – to boli.

Mężczyzna szybkim ruchem odrzucił nasączony wodą kaptur i przybliżył twarz do wystraszonej buzi chłopca. Białe włosy, długie do ramion w jednej chwili skleiły się w mokre strąki, a krople deszczu zaczęły spływać z wąskiego nosa na ziemię.

– Spójrz na mnie – nakazał, gdy chłopiec zacisnął powieki ze strachu. – Chcę ci pomóc. Rozejrzał się uważnie, ale nikogo nie dostrzegł, mieszkańcy portu dawno schowali się w ciepłych domach i pozostawili ich samych w mroku nocy. Przestraszony Wyszomir bał się mężczyzny, ale usłuchał i wbił błękitne oczy w twarz nieznajomego. W słabym blasku płonącego ognia dostrzegł gładkie czoło i musnięte słońcem policzki ledwie skryte pod zarostem. Nie był taki stary, jak przypuszczał, a jego stanowczy, ale ciepły głos budził w chłopcu nieśmiałą nadzieję.

– Kim jesteś? – wydusił ze szlochem i pociągnął nosem.

– Jestem wołchwem, synem Welesa – odpowiedział spokojnie i uśmiechając się delikatnie, przytrzymał jego głowę dłonią za czoło.